



RODZINA PAŃSTWA PAJTALSKICH.

OBRAZY TOWARZYSTWA. WŁADYSŁAW I JEGO KUZYNKA.

(Dalszy ciąg)

List wypadł z ręki Konstancyi, przerażonej tak niespodziewanym ciosem.

—Stracił wszystko! pomruknął Dobroduski.

—Stracił wszystko! powtórzyła Pelagia. Lecz Konstancya zbiera myśli i rzecze: O Boże! chce więc umrzeć, ponieważ że-

gna się ze mną na zawsze. Umrzeć dla tego że mu trochę pieniędzy zabrakło... Lecz to wszystko co ja posiadam czyliż nie należy do niego? Czyliż Władysław wątpi o mojej miłości? Ach! trzeba go ocalić, nie dopuścić wykonania tak okropnego zamiaru. Pelagio, spiesz się, daj mi kapelusz, chustkę... lecz mniejsza o to.. pójdę i bez niej. Panie Dobroduski zaprowadź mię, podasz mi rękę. Pójdź, pójdź czem prędzej!... Trzeba ocalić Władystawa.

Konstancya wzięta pod rękę Dobroduskiego i zbiegła z nim po schodach. Dobroduski nigdy w życiu swoim nie szedł tak prędko i myślał sobie: »Ach! jakże ten pan Władysław jest kochany, jakże jest kochany! Ach! byleby mię tak kochała panna Pelagia, gotów jestem co dzień topić się w Wiśle.

Wyszedłszy na ulicę, Konstancya rzekła do pana Dobroduskiego.—Prowadź mię pan spieszniej, gdyż okropnie byłoby przyjsdz za późno.—Tak jest panno Konstancyo, tak jest, zaprowadzę cię, ale dokądże mam cię zaprowadzić?

—Do Władysława... Wiesz gdzie mieszka?

—Wiem—Czy go tylko zastaniemy?

—Ach! to rzecz wątpliwa.

—Wreszcie, dowiemy się...

—O! muszę go widzieć.

Dobroduski myślał sobie że jeżeli kuzynka nie masz w domu, nie wiadomo gdzie go szukać. Lecz nie mówił tego Konstancyi, widząc że jej zmartwienie i niespokojność powiększa się co chwila.

Przyszli do mieszkania Władysława; nie było go w domu; służący powiedział im że jego pan wyszedł już dawno, niewiadomo dokąd. Okropny ciężar obarczył serce Konstancyi; obraca się strapiiona do swego towarzysza, mówiąc:

—Nie masz go w domu! Niewiadomo dokąd poszedł...

—Tegom się domyślał. Gdym go spotkał, nie zdawało się że myśli pójść na spoczynek.—Mniejsza o to... musimy go znaleźć... Pójdź panie Dobroduski, pójdźmy.

—Gdzie tylko zechcesz panno Konstancyo; lecz dokąd?

—Na giełdę... do Banku....

—Wieczorem nikt nie chodzi do Banku, giełda jest zamknięta.

—Do Lursa, do Teatru... wszędzie.

—Nie zdaje mi się aby pan Władysław miał być w Teatrze albo u Lursa.—A przecież mój kuzyn musi gdzieś być, musimy go znaleźć.

Młoda dziewczyna ciągnęła za sobą Dobroduskiego; szli na los szczęścia po ulicach miasta.

Gdy jaki młody człowiek podobny wzrostem i postawą do Władysława, przechodził koło nich, Konstancya wołała: To on!—i kazała Dobroduskiemu biec za przechodzącym; lecz Dobroduski powracał mówiąc: „To nie on, a nawet z bliska wcale do niego nie podobny.“

Gdy przechodzili koło jakiej kawiarni, restauracyi, cukierni, Dobroduski musiał wstąpić, dla przekonania się czynie ma tam Władysława. Przez trzy godziny biegali bez spoczynku po Warszawie. Konstancya traciła nadzieję, nie płakała, lecz jej oddech

był krótki, czoło pałające, spojrzenie ponure i wryte. Dobroduski wstąpił w miejsc kilkadziesiąt, gonił za dwudziestu przechodzącymi, z których nie jeden oburknął się na niego; już ledwie nogi stawał, lecz nie śniął tego powiedzieć, gdyż Konstancya nie skarżyła się, a mężczyzna nie śmie pokazać mniej odwagi niżeli kobieta; chociażby nawet tak było w rzeczy samej.

Wybiła jedenasta, Pan Dobroduski ośmielił się powiedzieć:

—Już jest późno. Lękam się czy Panna Pelagia i Pan Oktawka nie są niespokojni o Panią.

—Jest późno, mówisz Pan?

—Wybiła jedenasta.—A więc musiał już wrócić?—„Pan Oktawka? O zapewne że wrócił.

—Mój kuzyn Mości panie! mego kuzyna szukamy. Wróćmy do niego.“ Dobroduski nie śmie odmawiać, chociaż mniema, iż ta podróż na nic się nie przysza. Lecz idąc obok Konstancyi nie przestaje mówić do siebie:

—Oto jest człowiek którego kochają, człowiek szczęśliwy! I chce się zabić! Skarży się!... Ach! nie na próżno malują miłość z zawiązanymi oczyma.

Przyszli przed dom gdzie mieszka Władysław. Konstancya zatrzymuje się drżąc, siły już ją prawie opuszczają, czuje bowiem że jeśli Władysław nie wrócił, już wszelka nadzieja zginęła; pukają, otwiera im stróż domowy; pytają się o Władysława, odpowiada im, że przed kwadransem powrócił.

—Jest u siebie! zawołała z radością Konstancya i natychmiast biegnie na schody, nie zważając czyli jej towarzysz idzie za nią.

Przyszła w samą porę. Władysław bowiem przez cały wieczór nachodziwszy się po ulicach, zamyślony o nieszczęśliwym położeniu swoim, przekonał się, że chcąc załatwić swoje interesa nic mu nie pozostaje jak sobie w łeb strzelić. To prawda, że to jest sposób daleko prędszy, aniżeli przez pracę, cierpliwość i wytrwałość, odzyskać poniesione straty; lecz w naszych czasach, cierpliwość, wytrwałość i miłość pracy, są daleko rzadsze niżeli wystrzał z pistoletu; a utrzymują, iż jesteśmy w wieku oświaty i postępów!... Co się tyczy dawania obiadów, byź to może; lecz co się tyczy rozsądku, nie wierzę temu.

Władysław wrócił przeto do domu, z mocnym postanowieniem odebrania sobie życia. Nabił pistolety, położył je na stole i wspomniął z żalem na krótki swój żawód. Zapewne Konstancya zajmowała znaczne miejsce w jego wspomnie-

niach, a przynajmniej biedna dziewczyna zastugiwała na to.

Lecz w chwili gdy Władysław chwycił za nieszczęsną broń, Konstancya wchodzi do jego pokoju, wstrzymuje mu rękę i kłęk przed nim, wołając:

— Władysławie! chcesz i mnie zabić?

Władysław zatrzymuje się, spogląda na swoją kuzynkę, na jej błagające oczy; rozrzewnienie następuje po rozpacz; pada na krzesło, mówiąc; „Jakże mam żyć shańbiony! a będę shańbionym jeżeli nie zapłacę moich długów.

— Mój kuzynie! zapomniałeś więc że wszystko co posiadam należy do ciebie. Rozządzaj moim majątkiem; tego chcę, tego wymagam, w imię naszych matek, które tak nas kochały i uważały ciebie za mego opiekuna, za małżonka którego mi niebo przeznaczyło.

— Konstancyo, czy zastanowiłaś się nad tem? Ja mam rozządzać twoim majątkiem? Czy wiesz, że gdy zapłacę wszystko com jest dłużny, nie ci prawie nie pozostanie?

— Cóż mię to obchodzi? wówczas będę szczęśliwą. Czy mniemasz że byłabym szczęśliwa opłakując śmierć twoją? Przyjmiesz Władysławie; chcę tego, tak bydl musi. Daj mi czem prędzej papier i pióro, dam ci upoważnienie do banku, abyś ztamtąd odebrał mój kapitał... Ach! tak jestem szczęśliwa iż ledwie mogę pisać.

Konstancya usiadła przy stoliku i pisała z taką radością, że jej krewny mógł tylko uwielbiać ją i mileżyć. Nieco dalej w kącie pokoju, Dobroduski płakał jak bóbr, mrużąc:

»Co! za czyn!... Co za poświęcenie! co za przywiązanie! Oto jest człowiek kochany! Ach, panno Pelagio! jakże byłbym szczęśliwy gdybym wzbudził w tobie chociaż dziesiątą część takiego przywiązania!

Konstancya przestała pisać. Dobroduski przestał płakać.

Władysław przyjął pomoc swojej kuzynki. Są szczęśliwi, zapomnieli o troskach, już układają plany przyszłego szczęścia, a Konstancya nie żałuje tego świetnego majątku, za którym ubiegał się Władysław.

Dobroduski czyni uwagę że już jest bardzo późno; żegnają się, przyrzekając iż się zobaczą nazajutrz. Wierny przewodnik odprowadza Konstancyę do pomieszkania pana Oktawki i opowiada jej czyn, gdy tymczasem ona z oczyma spuszczone mi i zmieszana, stoi jak winowajczyni oczekująca wyroku.

Pelagia ściska przyjaciółkę i mówi: „Ach! gdyby twój kuzyn nie ubóstwiał cię, gdyby nie uczynił cię najszcześniejszą z kobiet, byłby bardzo niewdzięcznym.

— Nie myślałam o tęp spieszając mu z po-

moć, rzekła Konstancya.

Zacny pan Oktawka słuchał z rozrzewnieniem opowiadania pięknego czynu Konstancyi, potem przyjaźnie ścisnął ją za rękę, mówiąc:

„Kochana przyjaciółko! jest wiele pięknych rzeczy w twoim postępowaniu, lecz byłoby lepiej gdyby twój kuzyn nie był myślał o zrobieniu milionowego majątku. Nareszcie, będzie to dla niego zbawienną nauką i spodziewam się iż obierze sobie jakie użyteczne powołanie.

Pieniężmi kuzynki zapłacił Władysław wszystkie swoje długi, lecz jej pozostało się tylko tysiąc dwieście złotych dochodu: tyleż właśnie, ile wynosiła pensya Dobroduskiego.

Z tęp wszystkiem, Konstancya nie żałowała utraty majątku; to tylko jej było przykre że musiała zmniejszyć pensyę którą płaciła panu Oktawce. Mimo tego, ucziwy muzykant, okazywał dla niej też samą przychylność. Można bydl miernym artystą, a mieć doskonałe serce; jedno drugie wynagradza.

ROZDZIAŁ IV.

RODZINA PAŃSTWA PAJTALSKICH.

I dla czegoż jeszcze Władysław nie żeni się ze swoją kuzynką? mówiła sobie Pelagia, wkrótce po tych wypadkach. Najprzód żądał chwały, potem majątku; teraz, czyliż potrafi poprzestać na miłości?

Konstancya nie nie mówi, lecz zdaje się że ją zajmowały też same myśli. Od czasu jak rozproszył swój majątek i swojej kuzynki, Władysław był częstokroć smutnym, zamyślonym, albo też mawiał do Konstancyi: »Jakiż los mieć będziesz przy mnie? Nie mam nic, jestem niczym. Jakaż przyszłość czeka ciebie z cztowiekiem, którego nieszczęście prześladowuje bez przerwy?

A Dobroduski myślał sobie: „Nie chce ożenić się z nią bo już nic nie ma; nie ożenił się gdy miał majątek, i kiedyż się ożeni? Ach! gdyby mnie kochano, jakże byłbym szczęśliwy gdybym się mógł ożenić.

Władysław codziennie mówił do siebie: „Muszę zająć się czymśiś.“ Lecz nie nie robił i tylko użalał się na los, na ludzi i na spekulacye.

Pan Oktawka, chciał umieścić Władysława, za skrzypka trzeciej klasy w orkiestrze; bo chociaż młody człowiek nie był znamenitym muzykaniem, tyle jednak umiał iż byłby mógł grać za drugiemu.

Władysław odpowiedział na tę propozycyę: I cóż mieć będę z tego?—Cztery dukaty na miesiąc, przyjacielu.—I cóż u licha zrobię z czterema dukatami?



TANIEC

— Lecz... mając coś pewnego, przy pracy, przy oszczędności, można coś zrobić.

— Nie, panie Oktawko, nie mogę grać w orkiestrze za cztery dukaty na miesiąc, bo zamiast nabrać upodobania w muzyce, zostałbym na zawsze miernym muzykantem. Gdy kto wie że tak mało zarabia, nie stara się o dobre granie. — Mylisz się mój przyjacielu; człowiek zamiłowany w sztuce swojej, nie czyni takiej rachuby, usiłuje doskonalić swój talent i częstokroć daleko więcej pracuje gdy mało zarabia, niżeli wtenczas gdy mu drogo płacą. Mogłbym na poparcie mego twierdzenia stawić za przykład wielu wirtuozów i wielkich artystów, którzy zawód swój rozpoczęli od grywania w orkiestrze, a nawet w kawiarniach i oberżach.

Władysław nie przyjął ofiarowanego miejsca w orkiestrze. Nie długo potem, dobry pan Oktawka usiłując koniecznie wynaleść mu zatrudnienie, rzekł, iż mówił o nim ze swoim przyjacielem, fabrykantem obiciów.

Czy chcesz ażebym malował obicia? rzekł Władysław z gorzkim uśmiechem.

— Nie mój kochany przyjacielu, lecz po wiedziałem że umiesz ładnie malować pejzaże; polecił mi abym cię prosił o wynalowanie sześciu ekranów do komina, z przedmiotów jakie sobie wybierzesz... sceny domowe, albo krajobrazy; zapłaci po trzydzieści złotych za sztukę.

— Malować ekrany! zawołał Władysław zapłniony od gniewu; ja mam do tego stopnia poniżyć mój talent, dla zarobienia trzydziestu złotych?.. Ach! panie Oktawko, nie zastanowiłeś się nad tem co mi doradzasz.

— Lecz mój kochanku, sześć razy trzydzieści złotych czyni sto osiemdziesiąt; a z resztą cóż w tém jest tak złego że będziesz malował ekrany do kominów? Czytałem o wielu znakomitych malarzach, którzy w początkach malowali szyldy do sklepów. Czy mniemasz że przez to umniejszył się ich talent? Wiadomo, że artyści muszą jeść tak jak drudzy i że przed pracowaniem na chwałę, trzeba było zapracować na żołądek.

— Możesz mówić wszystko co tylko zechcesz, lecz nie będę malował ekranów do

komina; wolałbym robić wykałaczkę do zębów.

—A więc mój przyjacielu rób wykałaczkę, lecz rób co przecie.

Te przełożenia nie bawiły Władysława; dla rozerwania się, bywał jeszcze w towarzystwach do których wprowadzono go wtenczas gdy się zajmował spekulacjami. Przyjmowano go tam, gdyż nikomu nie powierzył utraty swego majątku, był ubrany pięknie i modnie, miał dobry ton i ładną postawę.

Na jednym zgromadzeniu tych ludzi, którzy wydają się bogatemi, a z których nie jeden, podobnie jak Władysław nie ma ani szeląga, kuzyn Konstancyi poznał rodzinę państwa Pajtalskich, składającą się z ojca, matki i córki.

Ojciec, był człowieczek bardzo małego wzrostu, głowę miał trochę zagłębioną między łopatkami, oko żywe, nos długi, kończasty i wklęsło zagięty; minę zawsze uśmiechającą się i niby złośliwo-szyderczą. Jak to zwykle czynią ludzie małego wzrostu, ożenił się z wysoką kobietą, która z wiekiem rozrosła się jeszcze i rozłyła. Jej mąż mógłby łatwo schować się za nią.

Córka podobna była do ojca ze wzrostu, do matki z tuszy, i cokolwiek przytém upadała na nogę.

Między mężem i córką, pani Pajtalska wyższa była o głowę i pół szyi.

Taka była powierzchowność tej familii; przejdźmy teraz do moralnego usposobienia.

Pan Celestyn Tyberyusz Pajtalski, był synem fabrykanta octu i musztardy, który zarobił nie mało pieniędzy, naśladowując dobrze musztardę paryżką.

Pan Pajtalski syn, nie tylko stał się godnym wziętości swego ojca, lecz korzystając z gotowizny pozostałej po nim, prędko powiększył swój majątek. Ale mając jedną tylko córkę, uwiedziony dumą, w pięćdziesiątym roku życia porzucił musztardę, ocet i korniszony, dla rzucenia się w piękny świat i używania majątku.

Pan Pajtalski, zupełnie zaniechawszy handlu, miał tę niedorzeczną słabość, iż chciał aby zapomniano o jego dawniejszem zatrudnieniu. Najął piękne pomieszkanie, dawał wieczory, obiady, na których nigdy nie stawiano musztardy, tak dalece obawiał się zastósowania; krótkomówiąc, przybierał ton wielkiego pana.

Pani Pajtalska była sobie dobra kobieta; jedną tylko w życiu miała namiętność, to jest upodobanie w tańcu i zachowała ją ciągle, chociaż skończyła już lat czterdzieści pięć. Z resztą, przystawała zawsze na zdanie męża, i uważała go za człowieka z wyższym rozumem.

Uczucia dwojga małżonków, zlewały się na córkę, ich jedyne dziecię. Panna Praxeda miała rysy dosyć regularne, a jej rodzice nie znali nie piękniejszego w świecie, od swojej córeczki. Przyjęli dla niej nauczycieli muzyki, rysunku, języka francuzkiego, angielskiego, włoskiego, tańca, geometryi, geografii, i historii. Z tego wszystkiego wynikło, że w siedemnastym roku życia, panna Praxeda spiewała fałszywie, rysowała oko tak iż można było poczytać je za ucho, gadała po francuzku pronuncyacją zupełnie polską, mówiła *yes* każdemu anglikowi a *si signor* każdemu Włochowi, tańczyła bez taktu, mniemała że Sztokholm jest w Szwajcaryi a Lozanna w Szwecyi, i mocno wierzyła w traiczną historiją króla Poppeła i w ćwieczki króla Leszka.

Pan i pani Pajtalska nie mogli poznać się na pomyłkach, których w rozmowie dopuszczają się ich córka, i nie przestawali powtarzać, że panna Praxeda otrzymała doskonałe wychowanie.

Z tём wszystkiem, gdy trzeba było przyjmować gości, częstować ich i utrzymać ton wyższego towarzystwa, pan Pajtalski nie raz był w wielkim kłopotcie, i ani żona, ani córka nie mogły mu w tem poradzić. Okoliczność pewna, z której korzystał czempredziej, posłużyła mu doskonale. — Umarł bogaty hrabia mieszkający nie daleko niego. Były fabrykant octu i musztardy, pobiegł natychmiast do pałacu, zapytał się o kamerdynera hrabiego i poszedł do jego izby.

— Czy ty służyłeś u nieboszczyka hrabiego? — Ja panie. — Wiele ci płacili? — Siedemset złotych rocznie, ubior, pomieszkanie i częste gratyfikacye. — Dam ci tysiąc złotych rocznie i też same korzyści; oprócz tego będziesz u mnie wszystkiem rozrządał; i tylko żądam abyś nie kiedy udzielił mi pewnej porady... to jest... przypomniat mi zwyczaj które wyszły mi zapamięci... gdyż przez długi czas mieszkałem na prowincyi i cokolwiek odwykłem od modnego tonu stolicy. Służąc u hrabiego, który przyjmował u siebie najpierwsze towarzystwa, musisz znać to wszystko;... odświeżysz mi pamięć.

Fryderyk, tak się nazywał kamerdyner hrabiego, chętnie przystał na propozycyę pana Pajtalskiego, i od razu poznał jak wiele będzie mógł skorzystać u swego nowego państwa. Jakoż, stał się dla niego nieuchronnie potrzebnym i pan Pajtalski w każdej rzeczy radził się swojego kamerdynera.

Jeżeli chciał sobie sprawić garnitur, fabrykant musztardy przywołał Fryderyka i pytał się. — Jak pan hrabia kazał sobie ro-

bić suknie? — Podług najświeższej mody, panie — A jakiego koloru? — Podług swojej fantazyi.

A pan Pajtalski obracając się do krawca, mówił mu: — »Zrób mi suknie podług najświeższej mody, koloru podług mojej fantazyi.

Trzeba było odmienić meble w salonie, wołano Fryderyka.

— Jakie meble pan hrabia miał w swoim salonie? — Jak wszyscy; kanapy, sofy, krzesła, fotele, fortepian i t. d.

Wówczas pan Pajtalski wołał fabrykanta mebli i tapicera, rozkazując im aby umebłowali jego salon jak było u pana hrabiego.

Lecz nadewszystko w dniach przyjmowania gości, podczas wielkich obiadów, Fryderyk był nieoszacowanym człowiekiem; on wybierał potrawy, wskazywał porządek służby i chwilę kiedy trzeba zasiąść a kiedy wstać od stołu; on to urządził jak ma być salon oświetlony, gdzie mają stać stoliki do kart i jak się wita i przyjmuje gości; krótko mówiąc, on stanowił wszystko, a gdyby kto był nadzedł wtenczas, byłby łatwo poczytał służbę za pana, a pana za służącego.

Ponieważ, mimo tych wszystkich nauk, pan Pajtalski lękał się aby jakiej niedorzeczności nie popełnił, umówił się ze swoim kamerdynerem o znak pewien. Gdy gadał lub czynił coś takiego co nie było przyzwyczajonem w dobrém towarzystwie i przestępowało prawidła etykiety, Fryderyk skrobał się po nosie, a pan Pajtalski prawie zawsze wpatrując się w swego służącego, ostrzeżony był tém samém że wystąpił z dobrej drogi i starał się wynagrodzić pomyłkę.

Taka to była rodzina państwa Pajtalskich. Miała 25,000 złotych dochodu, w chwili gdy się z nią poznał Władysław.

Przypadek zrzucił, że ten młody człowiek towarzyszył panie Praxedzie na fortepianie, że zaprosił matkę do tańca ażeby nie brakowało czwartej pary do mazura, że pana Pajtalskiego zapytał się o familię, przydając że znał na Podlasiu szlachtę tegoż nazwiska. Od tej chwili, podobną się całemu domowi. Kuzyn Konstancy posiadał ten powierzchowny talent, dostateczny dla zabawienia towarzystwa; umiał tyle przynajmniej grać na fortepianie, iż po jego granii można było tańcować; śpiewał, rozmawiał o jakimkolwiek bądź przedmiocie, z resztą miał wprawę i śmiałość jako człowiek bywający pomiędzy ludźmi; więc nie potrzeba dla złudzenia głupców a częstokroć nawet i rozumnych ludzi.

Pan Pajtalski zaprosił Władysława na obiad. Władysław przyjął zaproszenie, a po jego odejściu, Pajtalski zapytał się kamerdynera:

Jak ci się podoba ten młody człowiek? — »Bardzo mi się podoba panie, ma ton znakomitego człowieka.

— Fryderyk powiada że ma ton znakomitego człowieka: rzekł pan Pajtalski do żony, mówiąc o Władysławie; muszę go częściej zapraszać.

— Damy dla niego wieczór tańczący; tańczy bardzo dobrze, odpowiedziała jego połowica. — Powiedział że moja familia jest szlachtą... Musiał to wyczytać z z mojego oblicza. — Zapewne, mój przyjacielu.

Panna Praxeda nie mówiła, nie zaręczam czyli co myślała: jednakże bardzo była kontenta że Władysław podobał się jej rodzicom.

ROZDZIAŁ V.

WIELKI WIECZOR.

W kilka dni potem, pan Pajtalski dał wielki wieczór i zaprosił Władysława. Miało tam być wielu kapitalistów, spekulantów, pasibrzuchów z dobrym tonem i kilku młodziarzy, lecz ani jednego kupca. Rodzina Pajtalskich zerwała z niemi wszelkie stosunki.

Tego dnia, pani Pajtalska miała suknię trochę przy krótką i trzewiki niezmiernie ciasne, lecz chciała jaśnieć na tym wieczorze i spodziewała się że tańczyć będzie. Panna Praxeda trzymała się prosiuteczko, aby się wydawać wyższą, a jej ojciec postanowił spoglądać na Fryderyka, ilekroć zaczął mówić co lub robić.

Wszystko urządzone na przyjęcie gości. Pan Pajtalski z dumą spoglądał na swój salon, zupełnie tak umebłowany jak było u pana hrabiego i myślał sobie: Nie tu nie czuć octem i musztardą.

Ilekroć zadzwoniono, pan Pajtalski miał zwyczaj biedz do przedpokoju, Fryderyk zatrzymywał go za suknię, mówiąc: »Panie! trzeba czekać w salonie, nie zaś biedz na przeciw każdego.

— Dobrze Fryderyku... już się nie ruszę z salonu. Lecz gdy dadzą kolacyą?

— Wówczas wezmiesz pan jedną z dam za rękę, zaprowadzisz ją do stołu a za panem pójdą inni goście.

— To dobrze; czy mam zaraz usiąść przy niej?

— Nie... umiesz pan po prawej ręce dąmę którą poprowadziłeś; drugą posadzisz po lewej. Pani toż samo uczyni z dwoma paniami.

Czyliż nie trzeba będzie napisać na kartkach nazwiska gości i powkładać je w kieliszki od szampańskiego wina, jak to widziałem w resursie?

—Nie panie; tego się nierobi w domach prywatnych. Reszta gości siada podług woli. Z tém wszystkiém, łatwo możesz pan wskazać niektóre miejsca, aby osoby znajome siedziały jedne przy drugich.

—Rozumiem Fryderyku, rozumiem. Oprócz tego, zawsze będę patrzeć na twój nos, a jeżeli popełnię jaki błąd, ostrzeżesz mię.

—Dobrze panie.

Goście zaczęli się zbierać. Pan Pajtalski witał ich zupełnie tak, jak go nauczył jego kamerdyner; pani Pajtalska krzywiła się do każdego z przychodzących: musiała bowiem wstawać, a uciskały ją trzewiki; lecz wykrzywienie to uważano za uśmiech. Panna Praxeda stała jak żołnierz pod bronią, a całe towarzystwo gadało sobie zwyczajne grzeczności, w których nie było ani słowa prawdy: co jest także zwyczajem.

Władysław poszedł na ten wieczór do państwa Pajtalskich, ponieważ Pan Oktawka dzień wprzód nastęrczył mu przepisywanie rękopismów, co go tak rozgniewało, iż bardzo potrzebował rozrywki.

Stoliki do kart były zastawione w przyległym pokoju, lecz pan Pajtalski nie lubił gry; jeszcze nie można było rozpocząć tańców, brakowało tańczących; a chociaż pani Pajtalska, kulejąc trochę, kilkakrotnie stawała do figury, większa część gości wolała zasiąść do wista lub do ekarte.

Dla zabawy gości, pan Pajtalski proponował ślepą babkę i już chciał aby mu zawiązano oczy, gdy postrzegł swego kamerdynera, któren, ustawiając krzesła, bez przerwy drapał się po nosie.

Pan Pajtalski stanął na środku pokoju lecz nie zawiązuje oczów, a spojrzawszy na Fryderyka mówi. »Nie, w rzeczy samej, mniemam iż byłoby to w bardzo złym tonie grać w ślepą babkę; zostawmy niższym klasom te dziecinne zabawy.

Władysław przytęczył się do gier towarzyskich, mając swoje powody unikania gry w karty i odezwał się w téj chwili.

—Dla czegoż nie mamy bawić się w gry wesole i przyjemne? Ja utrzymuję że ślepą babką i gotownia lepsze są od wołoszyna i ekarte; można się zabawić bez straty, to jest oczywista korzyść. Wiemy oprócz tego, że najszawniejsi ludzie lubili takie drobne niewinne igraszki; kardynał Ryszeliu skakał równemi nogami przez rów w ogrodzie, Katon lubił tańcować, a

król Henryk IV ty chodził na czworakach dźwigając na plecach dzieci swoje.

Skoro Henryk IV ty chodził na czworakach, rzekł pan Pajtalski, możemy grać w ślepą babkę... Nie wiem dla czego Fryderyk drapie się po nosie, pomyślał sobie.

Władysław zajął miejsce pana Pajtalskiego, chwycił damy, zgadywał która jest, i wszyscy śmieli się do rozpuku. Tym czasem zebrało się więcej gości i zaczęto tańcować. Władysław usiadł do fortepianu, i grał ciągle.

Pani Pajtalska była niezmordowana, tylko co skończyła jeden taniec, chciała natychmiast zaczynać drugi. Ponieważ nie było mężczyzny do tańca, Pajtalski zaprosił do mazura swoją ukochaną połowicę, czego już od dawna nie było.

Lecz były fabrykant musztardy wpadł w dobry humor i przypomniał sobie, jak to przed dwudziestu pięć laty wyskakiwał w mazurze na weselu swego kolegi; porwawszy więc swoją tancerkę, wybił hołubca i rzucił nogami jakby jaki wieśniak w karczmie. Gdy tak dokazuje, postrzeżę w kącie salonu, Fryderyka, który drapie się w nos prawie aż do krwi. Przerażony, przelękły, puszcza żonę, a z nogą jeszcze podniesioną zatrzymuje się i rzecze:—Jakże jestem roztrzepany! chciałem wyskoczyć rażno i żwawo, jak to bywało kiedy człowiek był młodszym.. lecz to nie uchodzi... teraz tak nie tańczą.

—Przepraszam pana, odzywa się Władysław nie wstając od fortepianu; w wielu słusznych domach tańczą mazurka żywo i ochoczo, i dobrze robią. Po cóż zamieniać taniec z natury swojej tak wesole, tak rażny, w nudny i oziębły chód, jakby w odwiecznym menuecie?

„Prawda! prawda! powtórzyło kilku z młodzieży, już nieco rozgrzanych ponczem i porwawszy między siebie pana Pajtalskiego, wywijali mazura tak, że aż się trzęsła podłoga.

»W rzeczy samej, ten młody człowiek ma daleko więcej dowcipu, aniżeli Fryderyk; pomyślał pan Pajtalski; mój kamerdyner tylko raz wraz drapie się po nosie ostrzegając mię iż robię głupstwa, on zaś tak dobrze umie wszystko ułożyć; iż uchodzę za człowieka z taktem i dowcipem. A przy tém twierdzi że jestem szlachcicem. Ach! gdybym go zawsze miał przy sobie doskonale umiałbym się znależć w towarzystwie.

(Dalszy ciąg nastąpi)

WYJĄTKI Z PODRÓŻY PO SYBERYI.

Wkrótce wyjdzie z druku nowe dzieło: Opisanie Syberyi: ozdobione licznymi rycinami, na miejscu zdjęowanemi. Z tego dzieła, które w wysokim stopniu obudzi ciekawość powszechną, umieszczamy wyjątek, życzliwie udzielony nam przez autora. Ogólne wyobrażenie o niem damy później.

„Wyjechałem z Irkucka dnia 15 Stycznia 1832 r. o godzinie czwartej rano. Termometr Romiura okazywał dwadzieścia siedm stopni niżej zera; księżyc bladawym światłem oświecał drogę. W wygodnych krytych saniach, w niewielkiej odległości od miasta, spuściliśmy się na stojącą w części rzekę Angarę, której długość zład wynosi sześćdziesiąt werst do Bajkału z którego bierze początek; szerokość ma znaczną, tak jest bystrą, że lody na sobie utworzone pogrąża w nurty swoje, a lry zdają się z pod wody wydobywać, co daje powód tutejszym mieszkańcom do mniemania, że lody tworzą się na dnie rzeki: wodę ma czystą ale niezdrową i bezrybną; żegluga na niej trudną jest i niebezpieczną, z przyczyny licznych katarakt i skał podwodnych. Bystrość jej biegu wynosi ośm stop na jedną sekundę.

Wiedząc że Angara miejscami tylko jest zmarzłą, w ciągłej byłem obawie, a że noc zwykle wystawia nam otaczające przedmioty straszniejszemi, dla tego, choć rżęsy powiek zlepiły się od mrozu, przecierałem je bezustanku aby mieć oko na wszystkie strony; z tem wszystkiem, znajomość drogi tutejszych powożących, tak dalece oswaja podróżnego, iż tam nawet, gdzie istotne zagraża niebezpieczeństwo mniej się lęka. Woźnica raz trzymał się jednego brzegu, to znów tam gdzie rzeka była zmarzłą, przejeżdżał na drugi i tak naprzemian wybierał wygodniejszą i bezpieczniejszą drogę. Im bardziej zbliżaliśmy się do jeziora tęp więcej pasmo gór otaczających Angarę ścieśniało się i droga coraz była trudniejszą; sanie ledwie mogły się pomieścić na zlodowaciałym brzegu, ocierając się z jednej strony o stopy gór i skał wznoszących się po nad głowami naszymi, a z drugiej wrzące nurty czarnej Angary, groziły co chwila pochłonięciem. Widoki przecież były malownicze, księżyc oświecał śnieżne góry a odbijając swe drżące światło o bryły lodów wydobywających się bezprzestannie z kipiących wód, sprawiał jakieś uroczne na patrzącym wrażenie. Przeciwny zaś brzeg w ciemności pogrąży-

ny, przedstawiał wzrokowi czarne olbrzymie masy gór, kryjących w obłokach śniegiem pokryte wierzchołki. W niektórych miejscach jechaliśmy przez naturalne aleje z Akacyi, obficie rosnącej nad brzegami Angary a). Przemienialiśmy konie na kilku stacyach pocztowych; minawszy kościelną wieś *Nikolskoe*, gdzie jest port zimowy przewożowych statków Bajkału, zostający pod zarządem marynarki, zbliżyliśmy się do samego jeziora, wylewającego z siebie masy wód Angary. Wspaniały to i zachwycający widok, pomimo wiatru i dokuczliwego mrozu, z ciekawością przypatrywałem się widokrogowi; z płaszczyzny nieruchomej zamarzonego Bajkału, w osódr niebożyczych skał stromych, wychodzi jak szeroka czarna wstęga bystra Angara ginąca pomiędzy górami. Stałem po prawym brzegu rzeki, na samym zakręcie wzniosłej góry, tam właśnie, gdzie woda zdawała się z nadzwyczajną mocą wyrwać z pod gniojących ją lodów Bajkału; nurty jej pieniające rozbiły się o dwa ogromne granity, sterzące w środku koryta; gęsta para wznosiła się pod niebiosa, a miliony dzikich kaczek kotłowały się na wrzących wodach. Bajkał *morze święte*, jak ogromne zwierciadło, utworzone z gołedzi, odbijało rażące promienie wschodzącego słońca, gdyby nie przykrość klimatu, trudno by było oderwać się od podobnego widoku.

W dalszym ciągu podróży, jechaliśmy brzegiem Bajkału, przemieniając konie na dwóch stacyach, ustanowionych w wioskach wprawdzie małych, ale malownicze i zachwycające mających położenie u stóp wysokich gór, gęstym lasem ciemno-zielonej jodły obróśniętych; w tej okolicy znajduje się Talczińska fabryka fajansu i huta szkła. Z ostatniej stacyi zwaną *Listwieniczną*, droga nasza zmieniła swój kierunek, puściliśmy się więc wszersz jeziora, czterdzieści przeszło werst zład odległego; pomimo jednak tej odległości, perspektywa tak była ładną, że przeciwniej strony wzniosłości, nie zdawały się być dalej jak o parę werst. Zdziwiony byłem mocno, widząc że wpakowano w sanie tom żelazny i kilka deszczek, ostrożność przecież ta nader była potrzebną jak się później pokazało.

(a) Robinia Caragana, Akacya Syberyjska, krzew od czterestu do zzesnastu stop wysokości mający, pochodzi pierwotnie z Syberyi, ma liście parzystopierzaste, kwiat w kształcie grona, bez zapachu, żółty.

(Dokończenie nastąpi.)